

ANTONI MATUSZKIEWICZ

B E R B E R Y S

WIERSZE DOLNOŚLĄSKIE

* * *

Co to jest to poruszenie głębokie ta prawda
to jest dzwon z wysoka bije dzwon
spizowy dzwon uderza na kamiennej wieży

Cieknie łąza ciężka łąza stopionego metalu
spływa z niebios bezwładnie na ziemię

Jakby wciąż tylko sznury kłody belki
jakby nie serce pociągało serce
jakby w tyglu dzwonu dotąd wrzała wojna

JEŻ

Listki książek kielkują naprzeciw
drzew gdzie niegdyś matka
pokazywała mi młodziutkie sowy

Pójdźki już się tutaj nie gnieźdzą
tylko chyłkiem od czasu do czasu
jeszcze jeż przebiegnie jezdnię

Stąd z ogrodu z kłębkami wierszy
na kolcach albo po oknach gałązkach
zerkając bystrą czernią stamtąd

26 września 1994 r.

ZALEW

Świat jeszcze
ze śniegu ciemność
płochliwa lotki
gawronów porastają
zgarbiony horyzont

Czas koło przerebli
skrzepły aż przejrzystość
błyśnie łuską lipienia

Tylko ultrafiolet
odślania tęczę ptasiej czerni

Słońce jeszcze
tchem przetarta przestrzeń

* * *

Chłód światła frezje
w zielonych szklach

Jakby oddech urwało
otuliło bezdennie

Jakbym złakniony krzyczał
w niepokalaną głębię

Ze wszystkich sił i został
wysłuchany do cna

* * *

Patrzyłem
i ogarnęła mnie radość

Powiedziałem sobie
jestem grzeszny
i znów ogarnęła mnie radość

Po raz trzeci przemówił
Ja jestem
źródłem radości

16. 10. 1988 r.

PRZYMROZEK

Jestem

Dodajesz
ziemię i wodę
ogień i powietrze

Zieleń kryje góry
niebu wyrastają gwiazdy

Coraz trudniej zmartwychwstać

Zamiast krzyża kij
z paskami aluminiowej folii

Szeleści z nadzieją
zostawiony na zimę w ogrodzie

EURYDYKA

Annie Fedorowicz

Dwie godziny
w krainie mroku
na drugiej kondygnacji
wieżowca

Bez śpiewu
bez czułości tylko
nawzajem wiernie
odbijamy siebie

Mówi zostań jeszcze
z zewnątrz miłość
przechodzi po mnie
jakbym był cieniem

I muszę iść
nikogo nie dotknąwszy

REQUIEM

Jolancie Nachoreckiej

Nic ci nie dam nie mogę
ofiarować siebie

Tobie także
należy się wszystko

Oddaleniem od nas
jest największa bliskość

Śmiercią
bez żadnej nadziei

Nie może w blasku
stojący zmartwychwstać

Już nie ma nieba
dokąd mógłby wstąpić

* * *

Małgorzacie Stobbe

Będzie lato
zejdziemy nad rzekę
na skały

Anioły wzbijają w niebo
aromat sosnowej żywicy

Powiem znowu
piszę ewangelię

Rozbłyskują dłonie
rybaków blednie
róż jawno grzesznicy

Czytam cię prosto
z ust Głuchoniemego

CIENÍ

Posłuchałem symfonii poszedłem
za wzmożonym wzrokiem
słoneczników floksów
białek jaśniejących w mroku

Zaszumiało w drzewach
jakby już miały
występować za mnie

Otwierałem
kilka razy okno
przejrzystość się
stawała ciałem

Roztargniony starłem
imię cień
z podłogi podpis

REZUREKCJA

Stanisławie Szurchaj

Zrastają się drzewa
które rozstały się
zawraca przepaść
upuszczoną gałąź

Mieniają się strzaskane
krzyże pnie świerków
jak palmy na grobie
wyprzedza zieleń
przyśpieszenie serca

Burzy się bazalt
krąży jaspisowy karmin

Aż po kresy dewonu permu
brzmi spiż spod szorstkiej
śniedzi szpilek

ZNAK PANNY

Tu gdzie rosną poziomki
szyny pokryte są rdzą
pociąg tędy nie jeździ od roku

Do ośmioletniej wnuczki kolejarza
w nocy przyjechała biała
panna na białym koniu

20 czerwca 1990 r.

CIS

Cis to twarde drzewo
żyje tysiąc lat
zwija się na nim siekiera

Rodzi słodkie czerwone
jagody o trujących pestkach

Pod cisem stoją we dwoje
ciemni jak cis cisi jak cis
w tej chwili tysiącletni

* * *

Nie są czerwone
jak krew błękitne
jak szczęście złote
jak tajemnica

Łabędzie ptaki miłości
są tylko białe
lub czarne

PASJA

Matka błękit najczystszy
uczeń serca karmin
brąz ciało odjęte ciała

Podzielona na czworo
od góry najciszej
tonie biel w niewidzialnym

MARTWA NATURA

Za miastem miasto
na kamieniach kamienie
miliony na milionach lat

Z ulicy na ulicę
topazy turmaliny
ametysty klasyczny
styl krytalografii

Poezja tak doskonała
że nie ma w niej nic
o zmartwychwstaniu

MUSZLA

Pełnia Księżyca to pełna samotność
nie pozwól by jakikolwiek cień pozostał
jeśli przypadkiem usłyszysz głos gór
nie odpowiadaj gdybyś znalazł błękitną
muszlę wyrzuconą przez wiatr nie podnoś
do ucha połóż jak palec na ustach
tu tylko tyle można wiedzieć o miłości

MISTERIUM

Przez Chrystusa
z Chrystusem
i w Chrystusie

Tajemnica
słowa i ciała
ciała i krwi
krwi i światła

Patrzenia i myśli

Oczywistości
co nic nie rozumie
godzi się na pozory
odbicia brudne
kąpiele szkła

Boga którego ręce
bolą od szyb błękitu

Człowieka w niebiosach
blednącego Księżyca
i chmur

Grających w pochowanego
krnąbrnych agatów
pod powieką wzgórz

Nawet bez śniegu
trzaskają wprost w niebo
bierwiona styczniowych dni

* * *

Za mną zalew zielony
cierń dzwonnicy
nie ma szczeliny kwitnie
krwawnik liliowy bodziszek
pachnie tak samo
wciąż rozgrzana glina

Przede mną do zachodu
Słońca tylko zboże

POKOJE

Puste pokoje
w których podłogi
nie do chodzenia
nie do otwierania
drzwi drzewa
w oknach nie
dotykają ziemi
ani nieba

Gdzie światło nie
rozjarza myśli
powietrze nie
rozjaśnia tętnic

W których bez
zbawienia bez
potępienia jesteśmy

AUTOPORTRET Z LASEM

Wystarczy najlżejszy śnieg
a ten las podejdzie pod mury

Jak wygłodzone odbicie
spragniony krwi autoportret

Zza barw zza ram powraca
horyzont skrojony mieczem

Jak z mrowiska roi się ze wzgórz
wapnem pokrywa skórę

IN EXCELSIS

Sali Maksymiliańskiej w Książu

Na wysokości
łapczywej światła sztukaterii

Bezradnych skrzydeł
mitów oniemionych gipsem

Plastrów pozłoty
pilastrów kandelabrow

Umilkłych kotłów
i trąb

Pod masywem ciszy
spłynęły z płytek
pokolenia barw

Bezustannie w szachu
czerń i biel

W wysmukłych oknach
lustrach wysokich nikogo

Aż przechodzi pojęcie
że dęby modrzewie
nie mogą wstąpić
po stopniach
z marmuru przyrosnąć

W empory wniknąć
do grot do stajenek

Że się nie wchodzi zawsze
od najwyższej strony

Jeśli zeszkrobać
Słońce

EZOTERYKA

Odkryto czarną salę srebrne szpady
zgubiono odnajdując wnet wypruto okna
wstawiono ściany skruszono brzeszczoty
ktoś komuś sprzedał na targu rękojeść

Znaleźli którzy nie mogli się znaleźć
patrzac spod powieki ciężącej obolem
w witrażu na klatce schodowej kamieniem
ktoś oko Opatrzności szeroko otworzył

TERREMOTO

Na oślepie wciąż wytrwale wypręża promienie
nim się przemieni w nicość albo miłość

Kolorem fiołków nagle usuwa się ziemia
o jedną świetlną wiosnę zapada się wszystko

Trzęsienie ziemi z oratorium Haydna
milknie ostatnie z siedmiu słów na krzyżu

WIDOK NA POŁUDNIOWY WSCHÓD

Maleńki jest Dzierżoniów
zagubiony w błękitach
strzępiastej monstrancji zieleni

Stamtąd wiatr cieknie
rozpuszczona żywica

Stateczki świątyn
Igną nieporuszenie
nawzajem wyraźniej
krzyż w niedostrzegalne

Perspektywa powietrzna
sinieje nazbyt mocno
uderzona światłem

Ostępy sosen niżej
trzon mistyczny świerka

Poszarzałą pianą
wprost pod stopy
wypływa nam gabro

PIESZYCE

Pierwszy raz to pole

Głazy rozbite w kolorze
słoniowej kości kwarcem
szczerzą się musują
plamkami miki

Dzwon osiada na drogach
przeźroczystą zaspą

Skwierczą silniki skafandry
jaskrawią zanurzane nagle
w rozległości z wybitej
kałuży cug czerni

Nieśmiało obejmują
niewysokie góry jak
niepewna urody kobieta

ORGANY

Już raz dzisiaj słyszałem organy
krótkie westchnienia skrzydeł
zakrakał raróg nad świerkami

W rejestrach światła tak wyraźne
jakby wzrok złota dotykał słuch cyny
jak ostra gorycz rozgryzionej igły

Byłem dzisiaj podwyższony nad ziemię
trwa tęcza blasków którą tak ogromnie
anieli Boży rozpostarli w lesie

* * *

Co można tutaj znaleźć żyłki kwarcu
wśród różowych paznokci skalenia
szczotki szronu w osłoniętych źdźbłach
tropy burzy i wichru na wierzbach

Krągłe kamienie wydobyte z gniazd
wytrzeszczone oczy podziemia
w rozpadlinie promień rysujący gładź
zbyt szybko aby przeniknąć milczenie

Sarni rudel struchlały w bezruchu
obok wieży najwyższego napięcia
wokół ubitą ziemię broczy mrok
od grotów z czarnej krzemionki

* * *

Las pachnie zimnem i słonecznym ciepłem
kruchością trawy wilgotnością glonów
wszelką pogodą porą dnia i roku

Bez ruchu tylko nadal w ukryciu się kręci
młyn znaleziony niegdyś nad źródłem
ze skrawków kartki delikatnych szczap

Jakby tu płomień przeszedł przez istnienie
chłodna chmura popiołu aleja modrzewi
pochłania oddech węgielkami szyszek

Przejrzysty arkusz rozpięty na glinie
beżładne kreski proste kruche linie
zarys myśli uwięzły w tężejącym niczym

Przedwieczny piorun obrosły milczeniem
pisząc nawet na piasku możemy
rozwiązać niebu język niemy od urodzenia

DAYSY

Odwróciłem się ku głębszej ciszy
trylobity drzemały zwinięte w wapieniach
pod zieloną topielą z przeciwnego brzegu
niosło się od rozwalisk runiczne milczenie

Niemo drżał różaniec pierwotnych bazi
rozważany nad wiszarem przez moment
zatętniła zwierzyna w sąsiednim parowie
rozległo się pęknięcie nagryzanych łądy

Wtem jakby błonka trąciła widnokrąg
w niesłyszalnym słyszalne zatliło crescendo
z kamiennych epok wyłonił się człowiek
szedł powoli po brusie pociągając ostrzem

CANOE

Jakbym szedł niebem

Po ostatnim śniegu
schodzę na skraj zimy

Patrzę w ostateczny błękit

Brzozy obłoki
w górze jak na ziemi

Jeszcze w koleinie
czerni jak sen się kruszy
za lada dotknięciem
krawędź lodu wygięta
w przezroczystą korę

Zwój
wymazany światłem

Mijające bezruchem
canoe

WĄWÓZ

Cicho aż lód

Miękka tafla
nieruchoma szeleści
na gładkach

Wyschła poza
suchość
łożyska

Odbija się niby

Od siebie
której nie ma

Pełnią zaprzeczenia

ODSŁOWNOŚĆ

Nieme opieńki pod gładkim pniem deszczu
ścieżka bezszelestnie rozstępuje w źródło
jak świeże kwiaty pachnie wokół żywa wilgoć
nic nie mówisz głębiej nie potrafisz milczeć

Prześlągnięty bezsłownym bezustannym sobą
podziwiasz zaciśnięte głucho wargi gnejsów
ciemne znaczenie garstki rozsypanych jeżyn
wolne słowa nie służą wolne słowa milczą

WITOSZÓW

Góry dzielą
między siebie ciszę

Na ścianach domów
nie drgnie listek wapna

Kropki jeżyn
zamykają wiatr

Jestem niemy pryzmat
z czarnego krzemienia

Zmartwychwstały przyszedł
i nie może stąd wyjść

Droga zatrzymane
u celu kamienie

WE WROCŁAWIU

Tutaj gdzie byłaś niegdyś
nad fosą w centrum miasta
zielone kule jemioly
zwisają na akacjach

Zbierałaś na pamiątkę
zdziwiona uśmiechnięta
kręcone rdzawe strąki
dla ich twardego piękna

Nic tu się nie zmieniło
nad ciszą lśniąca solenną
widzę odbitą w głębi
miłość nieprostą ciemną

24 grudnia 1993 r.

RZEKA

Rzeka wszystko zapomina o zmierzchu
niewidoma jakby bardziej przywarła
do podłoża dotyka od razu substancją

Wolna od kłamstwa wolna także od przemocy
chłodno rozpytuje we mnie o wierzby olchy
o istnienie mam rację myślę zatem jestem

Lecz brak powietrza raptem tak odmiennie
powracamy w milczenie jakby się minęły
pędzące z rykiem samochody pogotowia

WIELKI PIĄTEK

W gąszcz Bukowego Lasu w Muszkowicach
szliśmy na przełaj świeżym śniegiem
Ignęła do butów lekka płytka biel
w głębi śladów zakwitwały przebiśniegi

Wąska kładka nad lśniącem fioletem
błada ścieżka rozpięta wśród świec
smugi szminki wskrzeszona czerwień
z ran zakrzepłych ciekąca po ciełe

* * *

Świt Maria Magdalena
śpi jeszcze pierwiosnki
pierwsze przecierają szarość

Nie budząc zieleni skradają się
ostrożnie od strony Wielkiej Nocy
do domu Josepha Wittiga

PIERWSZE DNI

Kropka Słońca na mroźnym arkuszu
pasy w szybkach w kamieniach rumieniec
odwieczna lampka w świerkowych gałązkach
świeci węgiel wydobyty z Drogi Mlecznej

Rzeka szeptem w biel przemienia swoją ciemność
ponad nurtem podniesiona kra się piętrzy
pną się stopnie krętą dróżką po stromiźnie
czerwień gliny w pnie gotyków chce się wśliznąć

Księżyc wolno na biegunach się kolebie
nie wie ciągle czy jest ziemią czy już niebem
w wąskim trakcie koło furty u zakonnic
Wenus biała biała owca niemy dzwonek

Coraz wyżej jest jest coraz więcej
nad dachami pola śnieżne lasy ciemne
Nowa Ruda jak zrodzona przed tygodniem
wśród zwierzyny położona w górskim żłobie

4 stycznia 1993 r.

GÓROM KAMIENNYM

Niepołączone głoski w słowo
wypowiedź pozbawiona składni
zapis w ciemności strąconego
światła na skórze salamandry

Jestem wnętrzością kamieni
anioł planety tchnął we mnie
krzemionkę w tkanki sygillarii
pomarańczowe trzewia czerni

ZWIASTOWANIE

Wilgoć pod nasypem odsączona z piasku
biała wiosną jak Księżyc za dnia

Widzialne chce oddzielić od niewidzialnego
przekonać czego nie ma nie jest mną

Niebo w wodzie stojącej szeroko
po polach między lasem gruntem mgła
pokochać to widzialne do niewidzialności

Nie tylko płynność kałuże w zaroślach
olszyn i brzoź kępach wygaszonych
traw trwa głębszy jeszcze sprzeciw
rozmokłej ziemi miękkość lodu

Wyraźnie odjęte przestrzeni
skrzydło obok powietrza i światła

Anioł odszedł od Niej właśnie wtedy

TRÓJGARB

Wiem dokąd śpieszą zmarli wstępują na stok Trójgarbu
z błogosławieństwem najcichszym tę ziemię posiąść na własność

Liliowe ostrożenie jak w gotyk złożone ręce
w śnieżnych rozetach maruny słoneczne goreją świece

Zamiast zmurszałych krzyży baroków ziół nie policzyć
zaduszny zapach od krzaków słodszy niż w wiejskiej kaplicy

We franciszkańskiej scholi brunatne tłoczą się świerki
za nimi dal tak bliska niebo jak dym niebieski

Mnie więcej nie będzie trzeba wspiąć się na stok Trójgarbu
czerwcowej łąki tęczę w modrą twarz Śnieżki patrzeć

KARKONOSZE

Jak srebrne świeczniki połyskują granie
puste kłosy z których wicher wysiał ziemię

Nie obracać się gdzie martwe świerki
bezsilnie obłapiają wiosenne powietrze

Nie schodzić pozostać gdzie przestrzeń
bezustannie przemienia się w wodę
spragnione źleby chłopcą prosto z niebios

Oddechem przywoływać i oddalać siebie
coraz mocniej się stając na Ziemi
wciąż jaśniejszych upłazach obłoków

Wszędzie tu można zakląć moce ziemi
ze żwiru życia wypłukiwać światło

Między głazem a głazem czekać poruszenia
zdroju struny pomiędzy językiem a mową

Aż się czerń źrenic wypłacze do brzasku
góry to zamurowany witraż

NOWA MORAWA

Na tej wysokości
wypowiada się bez przypowieści

Jak na dłoni na drodze
linia życia nasiona
rozeschniętych szyszek

Ziarenka śniegu
rozpływają się w błękicie liter

Do powietrza przywarł marnotrawny
dym drzewa co nie dało owoców

To nie smrek gorejąca zieleń
uświadamia że stoisz na bieli

To nie zamieć wokoło
zrywa się wzruszenie

Ten kto zamarł przed iskrzącym igliwem
już nie widzi skąd przybył

dokąd miałby iść

Zzuł ślady

Raduje się z niepoznawalności
nie istnieje nic w czym Bóg mógłby
odcisnąć się piętmem i zniknąć

Już wie dlaczego w tych stronach
ikonę Marii wkłada się w ramiona krzyża

PARAFIA MIŁOWICE

Patrzę zza starej wskazówki
przez judasza w godzinowej tarczy
nieznany mi dotąd jastrząb
do głębi przeciera przejrzystość

Spłoszone znad dojrzałej słomy
szczygły złoto granat i karmin
rozproszona w pomyśle ikona
spóźniony inicjał kreacji

Nie ma małości w polu majuskuła
zboża płowieje w jej wysokości
pęknięty dzwonek z mosiądzu
dziurawiec sztywny zwodzi wiotka
wyka liliowa hebrajszczyzna

Zdejmujesz buty już się ukazała
prawdziwa ziemia przy niej zaraz młode
ziemniaki leżą wciąż bardziej i bardziej
parzy podeszwy spopielają papier

BERBERYS

We śnie rozrastał się zagajnik
który miał należeć do mnie czereśnie
czerwony berberys na gałązkach
zgniecione jagody z żywopłotu
zbierałem wiśnie co opadły słodkie
bardzo pobladłe pęknięte na pół
widziałem jak układam o tym wiersz
by nie zapomnieć swej własności

Śniąc wychodziłem po kryjomu
ze schroniska widzieć góry w dali
czarny las w którym byłem za dnia
ujrzałem Chełmiec w kłębku białej pary
już już nad sobą dostrzegałem szczyt
Włostowej który miał mi coś objawić
lecz wtem rozległo się szczekanie
musiałem wracać byłem ubrany do snu

W korytarzu delikatnie przez sen
ująłem wielką płowo-różową wstęgówkę
już wolna chciała wrócić usiadła na szkle
słyszałem jak ktoś mówił o zbawieniu
duszy co rzuca świat ktoś się sprzeciwił
dusza bowiem w gruzińskich wierzeniach
z miłością lgnie do kamiennego
świata lapidarnej nagości istnienia

ULICA NOWY LUBOMINEK

Czasem zdarza się
wszystko między
masywem a masywem
drgnął wskaźnik
z braku równowagi
rudo rozsypał się
dom gęstwa bzu
zaciska w powietrzu
zsiniałe zbiegające pięści

Wpierw był zapach
potem niebo i ziemia

Wszystko przed chwilą
wyrósł las wystygł wulkan
przycupnęły na drutach
speszony trznadło
by nie zniknąć w zieleni
nieobeschłej na zawsze

* * *

Tę właśnie chwilę
oddaj porzucone
na bruk rumianki

Rosa po dotknięciu róży

Modre irysy mokre
do końca dojrzałe
dotykają granicy
granitu

Góry milczą przede mną
rozciągnięta harmonia

Trel nad zieloną twardą
ciszą pszenicy
konieczny niby
pęd kąkolu

Żarzą się grudki koniczyny

Jaśniej drogi
najprzyziemniejsze
ze snów

Ostrzega ostrzeniem
sierpa lub kosy
skrzek kwiczoła

Wtedy zobaczyłem
że góry płaczą
wznoszą strzępki bieli

Z żalu nad miłością
której wciąż nie mogę
uwolnić od siebie

TRYPTYK ŚWIĘTEGO SZCZELIŃCA

1.

Bram bez liku
permski barokowy zamek
znikł we mgle

Jak wejść wyjść
bez niego niebo
dotkliwie nisko

Deszcz bezradny
przeźroczyste
rękawiczki sina maska
w obłoku narkozy

Ostrożenie przekwitły
w nadfiolet

Dostępuję nie
dotykając stopni

Otwarte we mnie
po zanik istnienia

2.

Przez monokl
lunetę w promieniu
światła miliony lat
Adrspadskich Skał

Chwiejność
istnienia w żarliwości
bieli czerni się
Szczeliniec trapez
potrącony blaskiem

Musiało upaść
tak wielu aniołów
pod niewidzialnym
żeby stanął kamień

Z wibrującymi
skrzydłami powietrza

Pergamin ciszy
strzęp pejzażu glossa

3.

Na zewnątrz tylko
umyka horyzont

Najdalej niebiesko

Zbliżamy się
nad szczegółami

Odbiegła błękitem
góra chabry
porywa spod nóg

Najbliższe
to nierozróżnione

W kondensacji
przestrzeni jak szkło
stołowe cienkiej
kobaltowy alkohol

* * *

Zostaliśmy sami
z tęsknotą pustoszejącego

Tak dobitnie słyszeć
brak następnych
kropki dżdżu cisza
wietrzeje w wiersz

Skra pod sinym krzemieniem

Głaz na szczycie
odosobniony skazany
na niebieską banicję

Niepewny siebie już
przestrzenniejący

Niezliczony w odkrytej nicości

WAŁBRZYCH MIASTO

Biel bluzki pasek
niżej czysta czerwień

Jeszcze zażenowana
istnieniem

Jakby spotykała siebie

Dotyka ucha
kosmyka

Krawędzi formy

Objawia się sobie
krok za krokiem
niby w głąb
zwierciadła

Strojony
struna za struną
instrument

Uchodzi
spadającą strugą
warkocza

W nicość

Wydeptany niewidzialnym
czekaniem peron

* * *

Stawiam kwiaty
w słoiku pod krzyżem

Odpowiada skupienie
rozproszonej ciszy

Błysk stłuczonego
kieliszka wśród liści

Zabierz to stąd
wyjmij
światliste igły

Moje bezpańskie
psy przybiegną
o świcie

Tuli mnie
sobą miłosierdziem
we mnie

* * *

Jestem tym
jeszcze wspólnie
wzlatują sójki
z wysokości biel
wiosennie jak zieleni
prawda bez myśli
cisza odświeżenie
milczą piły
złodziei drzew

Las sprostać
niebu rozwikłać
zawiłość podziemia

Pisać o tym
co nie jest
zmyśleniem

W tropach skurczone
szkiełka zaszłe bielmem

Przez szklaną sierść
opuszcza ziemię wilgoć

Strumyk błyskotliwie
chwyta bezruch
przemilczeń próbuje
jak będzie być

Zwolnij bardziej
niż nakazuje
zwalony chrust

Jakbyś przystanął

Idź
jakbyś przyszedł

6 listopada 2002 r.

SPIS WIERSZY

* * * (<i>Co to jest to poruszenie...</i>) / 5
Jeź / 6
Zalew / 7
* * * (<i>Chłód światła frezje...</i>) / 8
* * * (<i>Patrzyłem...</i>) / 9
Przymrozek / 10
Eurydyka / 11
Requiem / 12
* * * (<i>Będzie lato...</i>) / 13
Cień / 14
Rezurekcja / 15
Znak Panny / 16
Cis / 17
* * * (<i>Nie są czerwone...</i>) / 18
Pasja / 19
Martwa natura / 20
Muszla / 21
* * * (<i>Za mną zalew...</i>) / 22
Misterium / 23
Pokoje / 24
Autoportret z lasem / 25
In excelsis / 26
Ezoteryka / 28
Terremoto / 29
Widok na południowy wschód / 30
Pieszyce / 31
Organy / 32
* * * (<i>Co można tutaj znaleźć...</i>) / 33
* * * (<i>Las pachnie zimnem...</i>) / 34
Daysy / 35
Canoe / 36
Wąwóz / 37
Odsłowność / 38
Witoszów / 39
We Wrocławiu / 40
Rzeka / 41
Wielki Piątek / 42
* * * (<i>Świt Maria Magdalena...</i>) / 43
Pierwsze dni / 44
Górom Kamiennym / 45
Zwiastowanie / 46
Trójgarb / 47
Karkonosze / 48
Nowa Morawa / 49
Parafia Miłowice / 50

Berberys	/ 51
Ulica Nowy Lubominek	/ 52
* * * (<i>Tę właśnie chwilę...</i>)	/ 53
Tryptyk świętego Szczelińca	/ 55
* * * (<i>Zostaliśmy sami...</i>)	/ 58
Wałbrzych Miasto	/ 59
* * * (<i>Stawiam kwiaty...</i>)	/ 60
* * * (<i>Jestem tym...</i>)	/ 61